

O MIŁOŚCI

Jak wiele kocham! Jakże jednak mógłbym mówić, że kocham wszystko albo że kochanie jest wszystkim?

I.

Miłość wydaje się towarzyszyć człowiekowi od bardzo dawna. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie zabiegi nadające miłości wartość ideologiczną. W tych warunkach wszystko wyrodnieje. Nie jest więc przypadkiem, że odnajdujemy w czasach współczesnych miłość w stadium zwyrodnienia. Gdybyśmy chcieli poszukać „winnych”, należałoby zwrócić się do owego potężnego prądu, który połączył nauki swego mistrza z moralnymi rozważaniami części (gorszej części!) filozofów greckich i doprowadził to wszystko daleko poza granice przyzwoitości. Należałoby się zatem zwrócić do chrześcijaństwa. Religia ta, oprócz wielu innych pojęć, wypracowała (i szczyci się bardzo z tego powodu) jedno szczególnie kuriozalne, szkodliwe i bezcelne – miłość przykaza. Co więcej – taką miłość jako miarę rzeczy.

Nie można wszakże nie dostrzegać innych źródeł absolutyzacji miłości w świecie dzisiejszym. Ciągłe aktywny Wschód (może coraz bardziej aktywny), rosnące sfeminizowanie społeczeństw, frustracje cywilizacyjne (powiedzmy otwarcie, gdzieś – jawna histeria), przede wszystkim jednak – ów fatalnie błędny pogląd (zresztą chrześcijański – zatem znów wracamy do...), zdobywający wielu zwolenników i bardzo do życia pobudzany przez okrucieństwa ostatnich dziesięcioleci (a także sposób ich przedstawienia), pogląd ludzi zmęczonych nienawiścią, głoszący, że można z ową

nienawiścią walczyć miłością. W ten sposób miłość ideologiczna wymknęła się z systematu religijnego i jednocześnie stała się ludziodobroczynną. Religia zaś, w sensie spójnej całości, dawno potrzebną być już przestała. (Oto przyczyna funkcjonowania większości wartości chrześcijańskich w świecie pochrześcijańskim). Chrześcijaństwo, przy okazji, także chce jeszcze wykorzystać swoją szansę i udowodnić, że nie tylko miłość, lecz ono całe na coś jeszcze może się przydać. Czy to się powiedzie? – zobaczą już nasi następcy.

Pragnę przypomnieć, że pogląd, o którym mówię, wyklął się w głowie człowieka, któremu nic się nie udało. Sukces chrześcijaństwa nie pochodzi od jego nominalnego założyciela, lecz od ludzi, którzy przyszli potem, i doprawdy nie został osiągnięty metodami mistrza. Jednak w interesie pewnych osób jest to tak właśnie przedstawiać. W ten sposób powstał mit o skuteczności metod *par excellence* nieskutecznych. Horrendalna głupota maluczkich proces ten jedynie ułatwiła. Niech to wystarczy tytułem wstępu.

II.

„Wywyższenie” miłości, przypisanie jej zadań i wartości niemających z nią nic wspólnego jest próbą znalezienia absolutu – na Ziemi (lepiej: próbą narzucenia...), i ma to być absolut z prawdziwego zdarzenia, czyli totalny (a nie tylko w jakiejś dziedzinie) i jedyny (jakakolwiek konkurencja z góry wykluczona. Diabeł). Przy czym usytuowanie domniemanego absolutu w sferze uczuć:

- 1) służy zabezpieczeniu go przed oceną ze strony intelektu. Absolut zabezpieczony!
- 2) ustanawia go absolutem o dużym stopniu immanencji, „w zasięgu ręki” niejako. Pozwala to zinterpretować zjawisko bezspornie powszechne i utrzymywać, że argumenty przeciw dotyczą owej bezsporności, a nie interpretacji („prawo naturalne” – przy zaprzeczeniu natury!)
- 3) ewentualne sprzeciwy z miejsca sytuuje także w sferze uczuć. Jest to sprowadzenie sprawy na wygodną płaszczyznę.

Niebezpieczeństwo zaistniałej sytuacji wynika z faktu, że do jak najbardziej powszedniego życia wkrada się złowrogi potwór, głośno wołający: „Ja – beze mnie wszystko martwe i jałowe! Ja – konieczny warunek świata! Ja – remedium totalne! Ja – Miłość!”. Co by o takim wołającym poglądzie nie myśleć – jest on na pewno wygodny, i to na sposób prostacki. A cechy te niechybnie prowadzą do powszechnej aprobaty.

Stwierdzenie, że absolut jest wśród nas, i że jest to taki właśnie absolut – zasadniczo stanowi samobójstwo. Są jednak wśród ludzi samobójcy i niewiele można na to poradzić, jednak nie muszą od razu namawiać wszystkich wokoło do rzucenia się w przepaść (w objęcia... – Boże, jaki ja jestem dowcipny!). Ma to jednak swój cel. Ocenianie. Otóż jednostki rozsądne, które lekkim okiem spozierają na podobne brednie i równie lekką ręką zagarniają i rozsypują przeróżne obfitości, wyraźnie nie mieszczą się w schemacie: kochaj, kochaj, kochaj... Są zatem wrogie. Są zatem złe. (Przy czym – o zgrozo! – to drugie zdanie wynika wręcz z pierwszego). Tak dochodzimy do sedna sprawy: kochać, aby oceniać. Ciekawy rodzaj miłości. Rodzaj, bo są jeszcze kochający bezpretensjonalnie i jest miłość bezpretensjonalna.

Jak od dawna wiadomo, moralność została wynaleziona głównie w celu umożliwienia sprawnego oceniania jednych przez drugich (konkretniej: pogardzania). I jest to pierwszy stopień zepsucia. (Na marginesie – oprócz przewagi fizycznej, jest to także jedno z głównych źródeł władzy). W tym mniej więcej stadium znajdowała się starożytność. Jednak pomysłowość ludzka nie zna granic – przyznano miłości nadrzędną rolę w systemacie moralnym. Stała się Zasadą – a pomysłodawcy zostali raz na zawsze zwolnieni od obowiązku myślenia, gdyż niezależnie od sytuacji (człowiek niezależny od sytuacji!) – wystarczy zastosować Zasadę. I postępuje się dobrze. Genialne: Kochaj, a będziesz dobry! (Pomijając oczywiście znaczenie słowa „dobry”). Podwójna komedia. Mam nadzieję, że aktorzy znudzą się wreszcie rolami. Znając jednak ogólny poziom aktorów (tego spektaklu)¹ może to się okazać nadzieja płonna.

¹Dodatek w nawiasie po to, aby się nie narażać.

Czytelnikowi rozsądnemu zalecam pominięcie kilku poniższych akapitów, bowiem zanurzam się oto w oceanie moralizatorstwa. Nie jest to wszak zwyczajny ocean. Drogo pewnie zapłacę za chwilę pływania w szambie. Pocieszam się jednak faktem, że inni – choć spędzili tam całe życie – jakoś nie są zaczepiani na ulicach, wytykani palcami, iż śmierdzą. Dołączam do nich! Hop!

Otóż miłość bardzo często bywa źródłem zła: niesprawiedliwości, zakłamania, zaślepienia etc. Zwykle mówią nam na to: Prawdziwa miłość nigdy nie rodzi zła. Ale, jak wielokrotnie podkreślano, postawienie przymiotnika „prawdziwy” przy jakimś rzeczowniku raczej osłabia niż wzmacnia jego wymowę. Często jest po prostu oznaką bezsilności, jeszcze częściej – kręactwa. (Chyba że ma to jedynie stylistyczne znaczenie). Stwierdzenie takie implikuje istnienie miłości nie-prawdziwej, czyli po prostu nie-miłości (złoto nie-prawdziwe nie jest złotem etc.). Powyższy zatem podział nie ma sensu – określenie „prawdziwa” nic nie wnosi do słowa „miłość”. Uwaga! Teraz zaczynam grzmieć.

Tak! Z pozycji miłości najwięcej było dotychczas pogardy! Nie jestże to sprzeczne? – zapyta ktoś (i pytanie to świadczy o głębokości zaślepienia). Nie! Rozejrzyj się wokoło, a zobaczysz:

- zakochanych, którzy gardzą wszystkim prócz siebie, dla których wzajemna miłość p o n a d wszystko wyrasta;
- modlących się: „Kocham Cię, Boże mój – a grzechem s w o i m pogardzam – ba! – sobą pogardzam!”;
- kochających, którzy mówią: „Gardzę tobą (żałuję cię), bo nie kochasz”.

A może nie znasz tego typu rozumowania:

- ja kocham, z a t e m jestem dobry, ty nie kochasz, z a t e m jesteś zły, etc., etc.

Ukoronowaniem perfidii tak myślących ludzi jest, powiedziane ze s w o j e j (jakże dziwnej!) wyżyny, zdanie: M i m o że jesteś zły, kocham cię.

Moralny przymus miłości totalnej – jest owym gwoździem do trumny wszelkiej moralności aktywnej, moralności, która wymaga ruchu – a nie schematu, moralności niepokoju, dramatycznych

ocen i wtórnych wobec nich, równie dramatycznych wyborów, na koniec – moralność wielu błędów, miast jednego błędu.

Kończę moralizować, przekonany o tym, że owe najbardziej śmierzzące miejsca dobrzem omijał.

Mimo nawoływań z wielu stron, nacisków, o których była mowa, ludzkość ani myśli poddać się miłości totalnej. Ta wspaniała sytuacja stanie się zapewne udziałem mieszkańców Raju – miejsca miłości spełnionej (na Ziemi nazywa się podobne przybytki trochę inaczej –). Jednak pamiętajmy, że owymi mieszkańcami nie będą ludzie. Tylko dlatego Niebo jest zadowolone.

U nas – na Ziemi – miłość totalna jest jedynie perspektywą. I stanowi próbę normalizacji zachowań według sprytnego kryterium. Wicie, do czego w pierwszym rzędzie wiedzie (a może czemu służy?) normalizacja zachowań. –

Absolutyzacja miłości doprowadziła jeszcze do jednej patologicznej sytuacji – ugruntowania się przesądu o istnieniu stałych kryteriów. To jest już kuriozum wysokiej klasy. Przecież świat nie istnieje dla wygody człowieka. Przecież wszelkie oceny to tylko wzajemne oddziaływanie, zmienne, zależne, zachodzące pomiędzy „równymi” zjawiskami. Nie ma stałych kryteriów! W ogóle nie ma kryteriów! Są tylko sędziowie. (Jest to zasadniczo opis sytuacji naszego świata). I jeśli powiadam: „Miłość bywa piękna” – to wcale nie sytuację kryteriów estetycznych nad moralnymi, lecz stwierdzam jedynie związek, oddziaływanie.

III.

Dość powszechnie znany jest pogląd pociągający Arystotelesa, zawarty w *Etyce nikomachejskiej*, dotyczący miłości i przyjaźni. Prawie równie powszechnie budzi on niejaki zdziwienie. Zdziwienie to świadczy jedynie o skuteczności, prowadzonej tysiąclecia już, indoktrynacji. Biada nam! Dzieciom dziwnie okaleczonych czasów. Któż kiedyś wspomni nas dobrym słowem – nas, którzyśmy wazyli się życie brać tak mało poważnie, a nawet nie potrafiliśmy śmiać się przy tym beztrosko.

Jak powiedziałem w pkt II, człowiek opętany miłością totalną (bo pamiętajmy, że są też opętani jedynie ideą takiej miłości) czuje się lepszy, wyższy, prawdziwszy, bardziej uduchowiony (to ci dopiero komplement), a często wręcz gardzi tymi, którzy nie podzielają jego poglądu. Nie przeszkadza mu to – rzecz jasna – kochać tych, którymi pogardza. Pamiętajmy: u c z u c i a s i ę n i e w y k l u c z a j ą. Tam *ratio* milczy, a nawet jeśli krzyczy – to cóż z tego! Nie jest to świat logiki – ani nawet konsekwencji. (Są to, rzecz jasna, z a l e t y. Zostaje jednak problem skażenia...). *Ad rem*. Miłość – w przeciwieństwie do przyjaźni – nie stawia warunków. I t o j e s t f a t a l n e!² Rzecz jasna, idzie głównie o skutki (wiedzą dobrze o tym owe rzesze, którym się to przytrafiło). Miłość łączy ludzi różnej miary; pożera inne kryteria – prócz siebie (bardzo to typowe dla różnych tyranii); uśrednia społeczeństwa; łagodzi zamiary... Tak! Złagodzenie zamiaru, złagodzenie c e l u – oto cena szczęścia pewnych natur. Wielkość albo miłość – wybieraj.

Sama miłość nigdy nie była i nie jest fundamentem, na którym można by cokolwiek zbudować. Jak się rzekło, nie stawia ona żadnych warunków (a życie warunki stawia i warunków w y m a g a), zbiera wszystko: dobre i liche, i ze wszystkiego buduje – lecz buduje, mając jedynie siebie za podstawę (żadnych przecież warunków i do podstawy!). Wszystko wydaje się postępować dobrze, dopóki ktoś nie zwróci oka w inną stronę – wtedy całe gmachy walą się! Opierały się wszak jedynie na miłości – podstawie, którą niszczy wszystko. Cóż wtedy robić? – Kochać znowu, kochać wszystkich, aby nadrobić stracony czas, aby zwyciężyć upadek. Jakże niewielu podówczas, zanim zacznie bieg z powrotem ku miłości, zastanowi się nad jakością fundamentu! Jest to historia powstawania n a - ł o g u.

Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju s p r y t e m – tzn.: rozwijać się kosztem wszystkiego wokół, wszystkiego co żyje,

²Na marginesie dwie uwagi: – ciekawe, że ludzie zwykli się chlubić ową fatalnością nie jako fatalnością (choć to też jest modne), lecz jako pewną wyższością ducha (!), lub wyższością samej miłości (!) – rodzi się także wątpliwość (z zakresu fizjologii) – może my po prostu nie znamy w a r u n k ó w m i ł o - ś c i?

wszystko inne niszczyć, a przy tym głośno wołać, że jest się j e d y - n y m, co warto osiąść i czemu warto s ł u ż y ć (czyli pobudzać dumę narkomana). Jest to spryt pasożyta. Miłość żywi się życiem!

Przyjrzyjcie się teraz autorowi owego fatalnego poglądu, że n a l e ż y kochać wszystko, że miłość buduje, że na miłości człowiek... I nie zapominajcie – do tego autora m o d ł a się l u d z i e! Co widzicie?

Buntownika *par excellance*. Gorące serce, które dusi się w świecie. Marzyciela, który postawił wszystko na jedną kartę – i przegrał. Nie udało mu się zbuntować świata. Po nim nie rozumiano już jego buntu. U k u c i e z w y c i ę z c y w y m a g a ł o r e z y g n a c j i z a u t e n t y c z n o ś c i (prawda jest słowem zbyt wyświechtanym). Podmieniono symbole. Ukradziono nam człowieka.

A był to przecież jeden z owych wielkich protagonistów wszelkich buntowników – tylko na większą skalę – on buntował się przeciw (nie tylko nominalnie) całemu światu.

Świat jest nienawistny – a ja będę go kochał

Świat jest skończony – a ja nie skończę nigdy (i wy nie skończycie się nigdy!)

Świat jest kłamliwy – a ja będę mówił prawdę etc., etc.

Jest oczywiste, że wiedzie to wprost do katastrofy. Wykorzystując katastrofę Jezusa, przechrzczając ją w sukces i wskazując na miłość jako na przyczynę sukcesu, wykorzystując buntowniczą część natury człowieka – zbudowano chrześcijaństwo – najdoskonalszą formę buntu sterowanego. Świat pozostał niemy.³

IV.

Prawdziwym problemem jest człowiek c z c z ą c y (innym, równie wielkim – człowiek głupi). Lękam się, aby wyobrażając sobie świat, nie tyle jako walkę przeciwieństw, co jako walkę, w której można używać domniemyanych przeciwieństw jako broni – czyli np. walczyć „dobrem” przeciw „złu”, „prawdą” przeciw „kłamstwu”

³Na marginesie godzi się zauważyć, że ów genialny filozof metody, z którego cytaty zaczerpnąłem jako motto do niniejszego zbioru, stanowi przykład absolutnej zgody na świat

etc., nie myślał człowiek taki według schematu: „Jeśli nie miłość – to nienawiść”. Jest to schemat bez nadzieiny i myślący lub postępujący według niego też są beznadziejni. Są to skamieliny *par excellence* – dowód istniejącego niegdyś życia. Rozpoczął się kult, skończyło się życie. Kult jako warunek działania (zawsze jest to jednak działanie skamielin) i na dodatek ukierunkowujący to działanie. Biedni czciciele! Wartość każdego z nich leży daleko poza nim samym – jest nią czczenie i jego przedmiot. Tylko dzięki temu nie giną stadami ze wstydu. Pamiętajcie dobrze! Czczenie nie jest namiętnością, lecz perfidią maluczkich.

V.

Miłość nie jest zasadą świata, ani zasadą człowieka. Jest przypadkiem – jaki się zdarza. Siła miłości nie tkwi w tym, iżby była najważniejsza, najgodniejsza czy jedyna, lecz w tym, że d a j e. Zasadniczo jest to przyczyna siły wszystkich instynktów. Nie trzeba przekłamywać miłości! Niech szlachetnym wystarczy taka – jaką – jest. Lepiej nawet ją odrzucić niż kaleczyć – kaleczy się wtedy bowiem i siebie. Lecz ci najwięksi – najsilniejsi być może – wiedzą, że nie odrzuca się rzeczy znaczących, wiedzą, że tym, co ich czeka, nie jest życie poza, ale ponad miłością. Tam, gdzie miłości, jako warunku, już nie ma.

Patrzę na świat i dostrzegam rzesze topielców. Och, doprawdy nie wiedzą kochający, co czynią! Toniecie, jeśliście jeno miłości zaufali – a ci, których czcicie i którym wierzycie w miażdżącej części, nigdy nie byli zakochani.